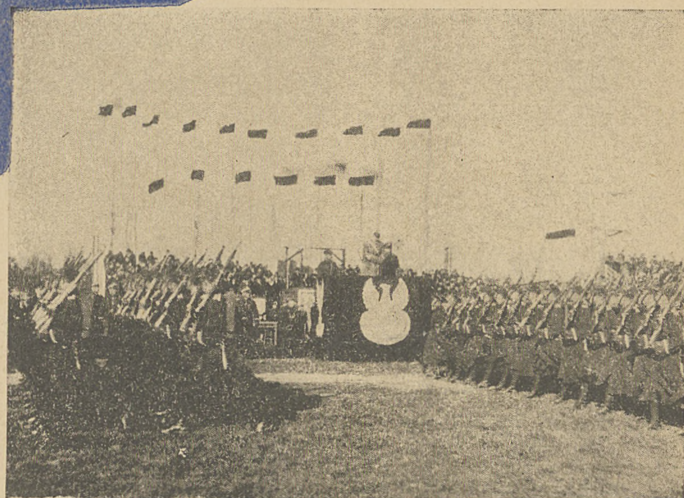
w młodych oczach



CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



NR 3 (7), ROK 2 19 MARCA 1938 r. WARSZAWA

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

Redakcja „Młodych Oczu"

ogłasza

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

pod hasłem

«Poznajmy Polskę, jak dźwiga się wzwyż»

POLSKA? —

Do żółtych, żarnych piachów przypadła wiecznie zmienna fala Wiku, kosówką porosłe zbocza Gorganów, Wisła leniwie płynąca wśród łęgów lub skuta więźbami mostowych przyczółków, poleskich wód rozlewiska szumnymi oczeretami zarosłe, mazurskie piargi, z których tu i tam czerwona wystrzela sosna — puszcz dawnych pamiątka; Polska, to wielki ciąg dźwigów i kranów, stuk młotów i piekielny żar hut śląskich, mroczna głąb kopalń Zagłębia i sto elipsami o niebo opartych świateł gdyńskich reflektorów; kaolin wołyński i wapienniki kieleckie; marmur, cyna, ołów, miedź i żelazo; węgiel i ropa. Polska, to codzienny poranny marsz milionów ludzi do pracy i strudzony ich wieczorem powrót. Spuścizna przodków sławna, w której wielka czeka nas praca. Polska stająca się: szkół pozbawiona Nowogródczyzna i niezagospodarowane opoczyńskie — zgnębione bezrobociem Zawiercie i Podole — kraj księstw i hrabstw folwarcznych...

„Poznajmy Polskę, jak dzwiga się wzwyż"!

Polska zmienia swoje oblicze. Buduje się. Setki kilometrów nowych dróg, zapory wodne, elektrownie, las masztów rybackich w puckiej zatoce, tysiące metrów sześciennych nowych budowli, zmeliorowane całe powiaty, zelektryfikowane wsie i miasteczka — to nie tylko puste słowa i nazwy, to fakty: beton, żelazo, woda, węgiel zespolone żelazną wolą pracy. Nie miejsce tu i pora na ich wyliczanie. Faktem jest, że na morzu, lądzie i w powietrzu stajemy się silni.

Musimy pamiętać, że ta Nowa Polska w rzeczywistości jest jednak inna niż w artykułach i zdjęciach filmowych PAT'a. Polska budująca się to nie tylko przecięcie wstęgi na nowowybudowanej drodze czy moście lub expose ministra przemysłu wygłoszone w czasie dyskusji budżetowej w parlamencie — to są etapy końcowe, finały długich miesięcy pracy łopaty, kilofa i młota, cyrkla i taśmy mierniczej, woli i mięśni. My, młodzi musimy tę pracę codzienną odnaleźć, z niej brać przykład — uczyć się tworzenia. Musimy pracę pokazać innym. A więc nie tylko reprezentacyjne gmachy czy wielkie inwestycje znajdą się na kliszach. Najmniejszy bowiem przejaw, najskromniejszy bodaj wysiłek na niezoranym jeszcze terenie dokonany liczy się jako cegła w wielkim gmachu Nowej Polski. Każde zdjęcie będzie nie tylko obrazem ale opowiadaniem — będzie syntezą woli i pracy.

Baczność! Już założone rolki i klisze — obiektyw w pogotowiu! Zaczynamy.

Regulamin Konkursu:

1. W konkursie może brać udział każdy uczeń i uczenica szkoły średniej oraz akademicy - uczestnicy i członkowie „SP".
2. Wymiar nadsyłanych zdjęć nie może być mniejszy niż 6×6 cm. Odbitki winny być wykonane o ile możności na papierze błyszczącym, kontrastowym.
3. Przy ocenie brana będzie pod uwagę zarówno wartość artystyczna zdjęcia jak i jego temat i sposób rozwiązania tego tematu.
4. Termin nadsyłania zdjęć upływa w dniu 1 maja b. r. rozstrzygnięcie nastąpi 20-go tegoż miesiąca i zostanie ogłoszone w numerze czerwcowym.
5. W skład sądu konkursowego wejdzie przedstawiciel jednego z foto-klubów warszawskich i po jednym przedstawicielu komitetu redakcyjnego i redakcji.

Dla zwycięzców redakcja przeznacza 3 nagrody.

I. Aparat 6×9 f-my P.Z.O. — wartości zł. 50.
II. Komplet przyborów fotograficznych w/g wyboru — zł. 20.
III. Komplet przyborów fotograficznych w/g wyboru — zł. 10.

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży
STRAŻ PRZEDNIA

Nr. 3 (7) Warszawa, 19 marca 1938 r. Rok 2.

TWÓJ PIŁSUDSKI

Święty z pomnika?

Człowiek z portretów, zamknięty w twardych granicach ram? Który zawisł nad każdą długą i szarą godziną szkoły?

Naprzeciw ciebie, na ścianie, na białej i wysokiej, każdego dnia jest Józef Piłsudski. Rama jest czarna albo brunatna albo nawet złocona. Zamyka go szczelnie, ogranicza, oddziela.

Na tafli szklanej kładzie się odblask powszedniego światła. Czasem połysk matowy przesłania obraz i rażąc wzrok nie pozwala spoglądać w ciemne oczy za szybą.

Na ramie jest numer inwentarza.

* * *

Czasem zamienia się w okrągłe słowo toczące się gładko po scenie. Staje się kulą szklaną podrzucaną z mistrzowską precyzją przez mówcę na estradzie.

Łezką liryczną i twardym patosem być może. Groźnym nakazem i mdłym epitetem. Zawsze ktoś wstaje i rzuca: Piłsudski! — zawsze ktoś mówi, ktoś mówi, ktoś mówi...

Jest prawda, jest rozkaz, orkiestra i chór. Jest portret, jest pomnik, są wieńce i tłum.

Czarne stroje i gorsy lśniące. Ludzie wielcy, ludzie ważni, i nawet — najważniejsi. Jest mównica, na której dobrze jest stać i patrzeć w rojną masę. I z tej wyniosłości ciskać dźwięczny pocisk Imienia w bezimienną twarz tłumu.

Są fotografie w tygodniku. Błyszczą mundury i migocą ordery. Lekko odrywają się od asfaltu kopyta szwoleżerskich koni.

A potem ciemna, niska krypta. Po środku wielki głaz. Ktoś składa pyszny wieniec. Ktoś głowę pochyla niziutko. Ktoś z boku stoi i patrzy.

Później będzie obiad galowy i toast o przyjaźni niezmąconej. Teraz jest To. Tak być musi.

* * *

Z białych kart podręcznika znów patrzą oczy z pod nawisłych brwi. Czarne kolumny druku tłumaczą, opowiadają, stwierdzają. Tkwią w nich, jak wmontowane, nienaruszone daty, fakty. Szumi w nich historia. Musisz to przeczytać. Musisz to wiedzieć.

Kiedy padnie przewidziane pytanie, musisz odpowiedzieć. Będziesz szermować imieniem, tłumaczyć z niego wszystko. Nie wydrzesz się przemocy. Jak każde inne równanie, poprawnie, bez zająknienia rozwiążesz i to, gdzie niewiadomą jest On.

Nie zakrztusisz się kulą wytartą po scenach, estradach, mównicach, protokółach i programach. Połkniesz świętokradczo.

Czemu się dzieje, że szukasz wciąż nienasycony? Czemu nie chcesz wierzyć w prawdę pomnika na rozstajach ulic i prawdę okrągłych słów? Czemu obco i chmurnie zaprzeczasz?

Więc dlaczego skradasz się pod Belweder o zmroku — sam i niepostrzeżony? Czemu uparcie patrzysz w oślepłe okna pałacu? I słuchem nieznużonym łowisz szum górnego wichru, co trąca umarłe gałęzie? Czemu nocy pozwalasz przepłynąć nad sobą?

Na kogo czekasz — żywego? Chcesz dłonią dotknąć — ran? By w wieczność uwierzyć?

J. N.

Mieczysław Wionczek

JÓZEF PIŁSUDSKI I ROK 1863

Lata 1863/4 wycisnęły krwawy stygmat na „krajach zabranych" — Litwie i Rusi. Nie było domu polskiego, któryby nie opłakiwał zaginionych w czasie partyzantki, zabitych w boju, strutych w więzieniach, wysłanych na Sybir. Tę martyrologię narodu widziało nowe pokolenie, urodzone w latach czynu czy w latach dzikiej zemsty cara za czyn. Otoczone żałobą, płaczem, jękami, traciło wiarę w możliwość zwycięstwa zbrojnego, porzuciło ideę męczeństwa i bojownictwa na rzecz cichej, żmudnej pracy organicznej — odbudowy ekonomicznej obrabowywanego wciąż przez zaborcę narodu. Żmudna i nieefektowna to była praca, ale przyniosła rezultaty. Zbudowano polski przemysł, handel, podniesiono rentowność własności ziemskiej — górne warstwy narodu osiągnęły dobrobyt, lecz środki stały się wkrótce celem i na tym polegał tragizm pokolenia.

Synowie mięczenników Sprawy 1863 r., odrzuciwszy bolesny idealizm, „mierzenie sił na zamiary", zadawalali się niezależnością gospodarczą, spokojnym kawałkiem chleba. Bardziej przedsiębiorcze jednostki emigrowały w głąb Rosji, aby eksploatować ten kraj wielkich bogactw i możliwości. Powoli w naród wsączać się zaczęło przeciwieństwo „ideowego szaleństwa" — spokojny sybarytyzm, od którego krok tylko do ugody i oportunizmu.

Dla nękanego przez zaborcę pokolenia niezależność gospodarcza i dobrobyt były przybiciem po długiej podróży do spokojnego i wygodnego portu.

Odsuwano od siebie wszelkie pokusy, tłumiono uporczywie głos sumienia, mówiący, że to dopiero połowa drogi do celu... że teraz czas na przygotowania do ostatecznego wystąpienia. Wmawiano w siebie, że jeszcze za wcześnie, że trzeba poczekać, skonsolidować naród. Nad obowiązkiem zwyciężała wygoda. Górne warstwy społeczne spały w spokojnym błogostanie.

Gdzież mieli działać ci, dla których rok 1863 nie stał się koszmarem, bezrozumnym szaleństwem, tylko jeszcze jednym objawem dławionego umiejętnie przez zaborcę życia narodu, może szaleństwem, ale bohaterskim, któremu co najlepsi synowie Ojczyzny poświęcili swą energię, pracę, życie? Ludzie, których nie przytłoczyły łzy i kir i nie popchnęły na drugą stronę — do spokojnego robienia majątku?

„Dwie są bowiem melancholie:
jedna jest z mocy, druga ze słabości
pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich,
druga kamieniem topiących się".
(Anhelli, V.).

Melancholia popowstaniowa Piłsudskiemu dała skrzydła, dała siłę do kontynuowania bohaterskiego czynu ojców, do naprawiania ich błędów.

Józef Piłsudski — najczystszy stop romantyzmu i realizmu — zdawał sobie sprawę, że z historii należy czerpać doświadczenie. Wiedział, że wyniesienie na ołtarz bohaterskich porywów przodków to jeszcze nie wszystko. Trzeba powstania zbadać od ich strony wewnętrznej, od sedna sprawy i od źródeł klęski.

Bazą wojenną każdej rewolucji są namiętności ludzkie. Trzeba te namiętności rozbudzić — oto nauka, jaką wyniósł z badania powstań, a zwłaszcza 1863 r. Trzeba poruszyć siłę, która kiedyś na alarm Wodza stanie się lawiną i zmiecie nękającego bezbronny naród wroga. Gdzież ta siła tkwi? W warstwach społecznych, które nie brały jeszcze udziału w życiu narodu — w proletariacie miejskim i wiejskim. I nie zdziwi nikogo, że Piłsudski odszedł od „pogrobowców powstania", którzy w imię wygody i świętego spokoju czynami swymi zaparli się swych ojców, chociaż ich czcili. Oni *czcili* powstania, ale dopiero On je *zrozumiał*, ujrzał błędy, — uwierzył, że potrafi je naprawić.

Jeśli rozważymy całą działalność Piłsudskiego, zmierzającą konsekwentnie do odzyskania niepodległości i zestawimy ją chociażby z jego uwagami o blaskach i nędzach powstania w zarysie historii militarnej powstania styczniowego, o którym mówił na wiosnę 1912 r. w Krakowie, odkryjemy wyraźne dążenie do zorganizowania instytucji, którym powsta-

nie zawdzięczało swe początkowe powodzenie i do naprawienia tego, o czym „czerwoni" wtedy zapomnieli.

Były w powstaniu styczniowym:

1. szkoła wojskowa (w Genui, potem w Cuneo),
2. doskonała organizacja cywilna późniejszego Rządu Narodowego.

Brakło:

1. przysposobienia materiału ludzkiego,
2. broni,
3. organizacji wojennej i komendantów wojennych na prowincji.

Wszystkie te punkty, których doskonałe zorganizowanie konieczne jest dla powodzenia sprawy, weszły w skład programu strzeleckiego Józefa Piłsudskiego. Jego geniusz militarny w oparciu o naukę, jaka wynikła z klęski powstania styczniowego, dokonał tego, ku czemu brakło siły pięciu pokoleniom: 1794—1830—1848—1863—1905.

I jeśli oceniamy dziś powstanie styczniowe, jako najbardziej szaleńczy z wszystkich porywów, to musimy pamiętać, że ta przelana — wydawało się, że napróżno — krew odniosła za grobem zwycięstwo. Zrodziła Oswobodziciela Narodu — Józefa Piłsudskiego.

Mieczysław Wionczek.

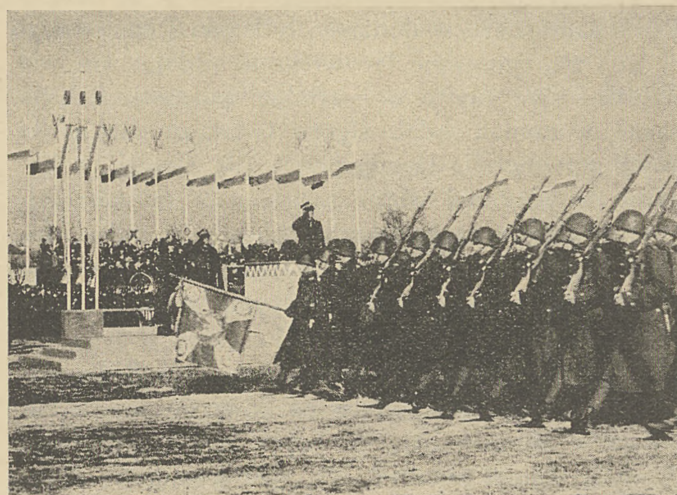
---

18 MARCA — DZIEŃ IMIENIN GENERALNEGO INSPEKTORA SIŁ ZBROJNYCH MARSZAŁKA POLSKI EDWARDA ŚMIGŁEGO - RYDZA. ZWRACAJĄC SIĘ Z GORĄCYM, NAJSZCZERSZYM ŻYCZENIEM KU OSOBIE DROGIEGO MŁODYM SERCOM SOLENIZANTA PODAJEMY ARTYKUŁ JEGO PIÓRA, KTÓRY NAPISAŁ JAKO MŁODY UCZEŃ GIMNAZJUM W BRZEŻANACH P. T.

STARY POSTRZĘPIONY SZTANDAR WOJSKOWY

W rogu sali muzealnej wisi stary postrzępiony sztandar wojskowy. Tłumy ludzi przechodzą co dnia obok niego. Przechodzeń rzuci okiem na wyblakły, podziurawiony łachman, bity niegdyś wichrami, prany ulewą deszczów, suszony spiekotą upalnego dnia letniego, rzuci nań znużonym okiem i przechodzi dalej. Czasem tylko jakiś marzyciel, błądzący w południowej porze po pustych wtedy salach muzealnych, wstrzyma swe kroki przed znakiem dawnych czasów i zaduma się. Wpatruje się w jedwabny szmat, myśli jego biegną w dawne lata, zamyśli się nad życiem tych ludzi, nad których głową ten butwiejący sztandar powiewał, których on do bojów zwycięskich prowadził, z którymi dzielił niedolę porażki. I oto w oczach smutnego marzyciela zaczyna sztandar ożywać, staje się echem dawnych pieśni zwycięskich, staje się pieśnią śpiewającą wielkie dzieła, staje się płaczką spraw dawno pogrzebanych, opowiada marzycielowi swoje dzieje. Opowiada głosem drżącym od radości o tej chwili, gdy po raz pierwszy wiatr rozwiał jego skrzydła nad zastępem bohaterskiej młodzi, co przysięgała na dozgonną wierność. A była wtedy chwila ciężka dla ojczyzny. Wróg napadł ją i wszystko garnęło się do oręża, by napad odeprzeć.

Opowiada sztandar o bohaterskiej walce, o zgonie tylu młodych, którzy swą śmiercią wywalczyli zaszczytne zwycięstwo. Bujał wtedy na falach rozszalałej pieśni triumfu i bił skrzydłem, rwał się w górę z uniesienia i radości. Mówił o bohaterskiej walce i śmierci, które jednak nie przyniosły zwycięstwa, kiedy po długim boju trzeba się było cofać, kiedy szeregi świeciły pustkami, kiedy ręce walczących omdlały, a wróg wysyłał ciągle nowe pułki. Mówi o upadku ojczyzny, o losie swych towarzyszy, którzy dostali się w drapieżne ręce wroga i dziś świadczą o jego triumfie. On ocalał. Wierny żołnierz schował go na piersi swej, gdy wszystko było stracone i poszedł z nim na długą tułaczkę w obce ziemie.



Sztandary... sztandary...

Tam przeżywał i widział sztandar: niedolę tułaczą, był świadkiem jego płaczu w tęsknocie za krajem rodzinnym. W długie bezsenne noce brał żołnierz towarzysza dawnych walk i tulił go drżący do piersi, a łzy gorzkie padały na wzorzystą tkaninę. Pamięta sztandar te łzy i bolą go one, pieką stokroć gorzej od ran, które poniósł od wrogich kul. Wreszcie skończyła się wędrówka, osiwiały tułacz wrócił do kraju, gdzie wkrótce umarł, a sztandar wzięto do muzeum. Tu rozmyśla on o minionej sławie, wije przędzę radosnych, to smutnych wspomnień, a czasem, gdy przyjdzie do niego samotnik o czującym sercu, opowiada mu historię swego życia.

Brzeżany, 1904 rok.

Zamieszczamy poniżej fragmenty z książki Prezesa Straży Przedniej, ob. sen. Janusza Jędrzejewicza. Książka ta p. t. „Kraina wielkiej przygody", poświęcona ideom Polski Współczesnej, pisana z myślą o młodzieży, ukaże się już wkrótce w druku.

Z ROZDZ.: HONOR.

...Najprościej kojarzy się pojęcia honoru z pojęciem rycerskości. Wieki ubiegłe, w szczególności zaś średniowiecze wypracowało zwarty i zupełny ideał rycerza: człowieka, gotowego zawsze do walki w obronie swej prawdy; szukającego okazji do pomnożenia dobra na ziemi, mającego żywe poczucie swej godności i godności sprawy, której służy. Rycerz średniowieczny był człowiekiem służby, której się bez zastrzeżeń poświęcał. Cześć, jakiej dla siebie wymagał, była wynikiem wielkiego znaczenia, jakie swej służbie przypisywał; gdy cel, do którego się zaprzągł, był sprawą wielkiej godności, jakże blask tej godności nie miał oświecać i tego, który narzędziem sprawy się stawał? A ponieważ służba jego była służbą Bogu i księciu — a więc dotyczyła spraw wiary i ojczyzny, spraw napewno najgodniejszych, w hierarchii ludzkiego życia najbardziej ważkich, nic przeto dziwnego, że służba tak rozumiana była wielkim zaszczytem, sprawą wielkiego honoru, że dawała dumne samopoczucie doniosłej roli, jakiej się z własnej woli podejmowano, że wreszcie oddając sprawie wszystkie swe siły, a w rycerskiej potrzebie i życie własne, w zamian żądało się od świata szacunku dla swojej prawdy, dla swojej pracy, dla swojej osoby. Honor osobisty był więc oparty na czymś ważniejszym, godniejszym, i większym nad życie indywidualne człowieka. Człowiek był zaprzągnięty w służbę wielkiej idei i z niej czerpał poczucie własnej wartości.

Łatwo wyśledzić, jak poczucie honoru degenerowało się w ciągu następnych wieków, aby w czasach Ludwików doprowadzić do płytkich i czysto zewnętrznych manier francuskiego gentilhomme'a, zawadiaki, umiejącego jeszcze ryzykować swe życie w pojedynkach bez żadnego powodu, ale nie reprezentującego żadnej idei, nie służącego żadnej większej sprawie, często pozbawionego czci i wiary, pysznego i chełpliwego dzięki urodzeniu i majątkowi, a wtłoczonego w martwotę formułek i reguł postępowania, z których żywa treść uleciała już dawno. Maniery rycerskie stały się modą, na ołtarzu której poświęcało się wiele, nawet własne życie (za czasów panowania Ludwika XIV zginęło w pojedynkach jakoby 7 tysięcy szlachty francuskiej) — można jednak wątpić, czy głębsze poczucie honoru odgrywało w tym istotną rolę.

I gdy nowe i najnowsze czasy nie zdobyły się na ustalenie innej, a tymbardziej wyższej klasy idei honoru, niż to potrafiło zrobić średniowiecze, może słusznym będzie zatrzymanie się na idei rycerskiej, jako na najpełniejszym i najpiękniejszym wyrazie ludzkiego honoru, jaki nam z dziejów jest znany. A to tym bardziej, że idea ta, choć liczy wiele setek lat, nie jest wiele odległa od czasów dzisiejszych, nie jest nam bynajmniej obca; wprost przeciwnie, dziś jeszcze odnajdujemy w niej wartości istotne, głęboką prawdę życia, nieobliczoną na przemijanie. Zmieniła się epoka, uległy zmianie warunki, obyczaje, wierzenia, — ale pojęcie honoru służby i godności służbę tę pełniącego — pozostać może i pozostać winno, jeśli życie nasze — zarówno osobiste jak i zbiorowe w społeczeństwie, narodzie i państwie — ma być nie pustym spędzeniem czasu, ale istotną wartością.

Z ROZDZ.: OJCZYZNA I NARÓD.

...Zapewne, można swej ojczyźnie zaprzeczyć: wyrzec się jej lub ją zdradzić. Można również przeciwstawić jej coś innego o pozorach wyższości: jakiś ideał powszechnego humanitaryzmu, jakąś międzynarodowość osiągnięć kulturalnych lub klasowych. Rezultaty tego są jednak bezwartościowe. Droga ta bowiem prowadzi albo do pustego werbalizmu o pozorach szlachetnego gestu, charakterystycznego dla inteligentnych a pustych pięknoduchów, albo marnego snobizmu, cechującego globtroterów kultury, albo wręcz do ponurych absurdów, jak to się dzieje w Rosji, która zaczęła od międzynarodowej rewolucji społecznej, przelała w imię jej haseł morze krwi ludzkiej, aby skończyć na iście rosyjskim nacjonaliźmie państwowym, nie różniącym się od carskiego nacjonalizmu dawnych czasów.

Ucieczka od ojczyzny musi się skończyć katastrofą i tragedią. Człowiek o tyle wnosi do życia jakąś wartość, o ile potrafi się z nią związać uczuciem i współczuciem, zrozumieniem i porozumieniem, pracą i współpracą. A że więzy, łączące jednostkę ludzką z ojczyzną napewno należą do najsilniejszych i najistotniejszych, nic dziwnego, że zerwanie ich w bardzo znacznym stopniu musi oderwać człowieka od głębokiej prawdy życia, poza którą nie ma wagi, znaczenia i sensu. Dla nas, Polaków, ojczyzna jest czymś bodaj ważniejszym, jeszcze droższym niż dla innych ludów, które niepodległości politycznej nigdy nie traciły. Poprostu mocniej ją czuć możemy, skoro od tak stosunkowo niedawna widzimy ją rozkutą z kajdan wiekowej niewoli. Przytomny jest nam w świeżej jeszcze pamięci los kilku pokoleń naszych przodków, pozbawionych tego, co jest elementarnym prawem każdego człowieka: swobody obywatelskiej. Było przecież wszystko: wielki, bogaty szmat ziemi,

nieograniczone możliwości pracy gospodarczej i kulturalnej, liczny, uzdolniony i pracowity naród, wielkie talenty i wielkie charaktery — i brakło jedynie tego, abyśmy sami naszymi losami mogli kierować i sami naszą pracą przyszłość sobie torować. Ciążyła nad nami obca przemoc, marnując siły nasze lub wykorzystując je dla siebie, wprzęgając nas w rydwan swoich własnych przeznaczeń, pasożytując na naszej pracy dla celów nam obcych i wrogich. Cóż dziwnego, że odzyskanie niepodległości państwowej opromieniło ojczyznę polską w sercach naszych nowym blaskiem, ukazując naszym oczom jeszcze piękniejszą, jeszcze droższą, nareszcie już naszą własną. Wszak dopiero teraz od lat niewielu, Polska stała się dla nas nie tęsknotą, ale konkretnym terenem wspólnej pracy, nie marzeniem, ale realizacją pełnioną codziennie wysiłkiem rąk i myśli. Dopiero teraz wszystkie jej możliwości stoją przed nami otworem. Sięga szeroko i daleko. Tak daleko, jak daleko rozprzestrzeniają się dzisiejsze granice naszego państwa, a może jeszcze znacznie, znacznie dalej; tak szeroko, na jak szeroką skalę rozwinąć potrafi skrzydła duch narodu polskiego.

Z ROZDZIAŁU: O RZECZACH WIELKICH I MAŁYCH.

...Bo zapominać nie można, że wielkość niekoniecznie iść musi razem ze sławą, i co innego jest tęsknota do wielkości, właściwa każdej szlachetnej duszy, a co innego pragnienie sławy, które często posiadają ludzie prości i nic nie warci. Tych dwóch rzeczy nie trzeba z sobą utożsamiać. Pragnienie sławy, żądzę oklasków i uznania innych widzimy u każdego aktora, choćby był jak najmniej utalentowany. Ale, o ile wysoko cenimy sztukę dramatyczną i słusznie stawiamy pomniki wielkim aktorom, o tyle nie lubimy aktorstwa w życiu. Bo życie nie jest sceną teatralną, gdzie, choćby najgenialniej, należy odegrać jakąś rolę i uzyskać za nią brawa. Życie jest rzeczą ponad wszelki wyraz poważną, jedyną, niepowtarzalną; jest w nim miejsce na rzeczy naprawdę wielkie i najgłębiej wzniosłe. A przy tym pełne najwyższego piękna, jakim jest piękno ludzkiej duszy.

Że tak jest, świadczy o tym dziedzina, która zawsze wywierała na ludzi przedziwny urok i zarówno w sztuce, jak w wychowaniu odgrywa bardzo dużą rolę: dziedzina legendy.

W jaki sposób powstają legendy? Tworzą się wtedy, gdy wyobraźnia ludzka znajduje się pod silnym wrażeniem wielkości ducha lub wielkości wydarzeń. Gdy w jakimś środowisku zdarzyło się coś wyjątkowego, gdy człowiek dokonał czynu wyrastającego nad poziom przeciętności, w krótkim czasie powstaje koło danego człowieka lub wydarzenia aureola legendy. Nierzadko zawodna pamięć zmienia wypadki, upiększa je lub dodaje momenty grozy, często zupełnie odwraca sytuację — ale zawsze jest wyrazem zbiorowego poczucia tego, że w danym punkcie czasu i miejsca przeszło ponad rzeczywistością i zawładnęło nią znamię wielkości. Legenda osnuwa swą siecią wielkie boje, wielkie czyny, wielką miłość, wszystko to, w czym duch ludzki może znaleźć swoje najpełniejsze odbicie.

Weźmy pierwszą z brzegu: legenda ofiary o Wandzie, co nie chciała Niemca, legenda pokory i ubóstwa w kwiatkach św. Franciszka, legenda miłości Tristana i Izoldy, legenda honoru księcia Józefa, legenda boga wojny Napoleona i wreszcie w naszych oczach, przy naszym czynnym uczestnictwie tworząca się legenda Piłsudskiego i jego żołnierzy — legenda bohaterstwa.

Dzieło ludzkiej wielkości ubrane zostaje w szaty piękne i w kształt artystyczny zaklęte, staje się na zawsze własnością zbiorową społeczeństwa, narodu, ludzkości, wywołując w sercach ludzkich zespół obrazów o znacznej sile dynamicznej i wywierając drogą najbardziej niezawadną, drogą trafiania do uczucia, ogromny wpływ wychowawczy.

Legenda nie opiewa wielkich haseł lub programów, nie gloryfikuje tych, co zbytecznie poszukując ideałów przechodzą przez życia z pustymi rękoma lub tych innych, co żądają i protestują. Legenda mówi nam o wielkich uczuciach, wielkich wyrzeczeniach się i ofiarach, wielkich wysiłkach, wielkich pracach nie dla sławy dokonywanych, ale z prawdy dusz ludzkich poczętych, które dopiero następne pokolenie wieńczą laurem sławy.

Zapewne nie każdy może być wielkim człowiekiem. Ale każdy może w dziele wielkości uczestniczyć, a to jest bardzo dużo, więcej, niż niejednemu się wydaje. Bo przez nasze właśnie ręce, ręce zwyczajnych ludzi, przepływa bieg ciągle zmiennej rzeczywistości, prąd ustawicznego stawania się rzeczy nowych. Przepływając przez nasze ręce, rzeczywistość pod ich wpływem kształtuje się i narasta. To my ją tworzymy. Jeśli dzień dzisiejszy nie podobny jest do dnia wczorajszego, to dlatego, że jest od dnia wczorajszego pracą naszą bogatszy. Że przesiąkł ludzkim wysiłkiem, ludzką wolą, że zdeponowane są w nim skarby ludzkiej myśli i ludzkiego uczucia, i te to czynniki nadały dniu dzisiejszemu kształt nowy i inny kształt nadadzą nadchodzącemu jutru.

Nieuniknionym zadaniem człowieka jest tworzenie coraz to nowej rzeczywistości. Tworząc ją niech stawia swoim rękom wymagania jak największe, niech je — często leniwe i ospale — zmusza do największego wysiłku, nie żądając od innych pracy, która musi być jego własnym udziałem — a poczuje najniewątpliwiej, że wszystko, co go otacza, wszystko czym i w czym żyje, ma wielkie, doniosłe znaczenie, że życie jest rzeczą wielką, a rzeczami małymi są tylko te, w których fałsz, zła wola, gnuśność i sobkostwo odbicie swoje znajdują.



Witold Degler

KOŁYSANKA.

Wieczór jest miękką poduszką z atłasu
Połóż zmęczoną głowę, powieki na oczy nasuń.
Wieczór jest skrzydłem, co w noc uderza —
Uwieś się u pajęczych skrzydeł nietoperza.
Wieczór jest baśnią i zapomnianą legendą —
Gdy zaśniesz — anioły przy tobie siędą.
Wieczór jest niekończącą się nigdy tęsknotą
Czyjeś ręce dalekie, które się z innymi nie splotą.
Zarzucam myśli na skrzydła nieuchwytnym lotom
Wieczór jest niekończącą się nigdy tęsknotą.

Przeździk Marian *(Kielce)*

DO MUZY.

Przychodzisz do mnie zmierzchu cowieczornym
cieniem
Cała wtulona w chustę bladych mgieł latarni —
Pachnącą dłonią włosy mi z czoła odgarniasz
I pocałunkiem budzisz przygasłe wspomnienie.

Piszesz dotykiem palca na wybladłym czole
Przedziwne słowa, z których układasz rozstanie,
A potem się w milczeniu rozcieniasz na ścianie,
Rzucając zgubionego w papierach przy stole.

Nie odchodź! Zostań w sercu natchnieniem
najszczerszym
—Gdy w tajemnym, nieznanym dla świata zachwycie
Rozpocznę śpiewać długą spowiedź swego życia,
Wtedy, Muzo, rozgrzeszysz mnie strofami wiersza!

Nowela „Młodych Oczu"

Henryk Nowok

POMNIK Z ABECADŁEM

Wspomnienie o Marszałku łączy się w mojej wyobraźni z czarnym węglem i p. Pohlową. Panią Pohlową znałem z tego, że mąż jej miał najpiękniejszy pomnik na cmentarzu w moim mieście. Biały pomniczek mocno odcinał się na tle trzech ciemnozielonych tui (były cztery — jedna uschła) zasadzonych jeszcze ręką nieboszczyka p. Pohla wokół rodzinnego grobu.

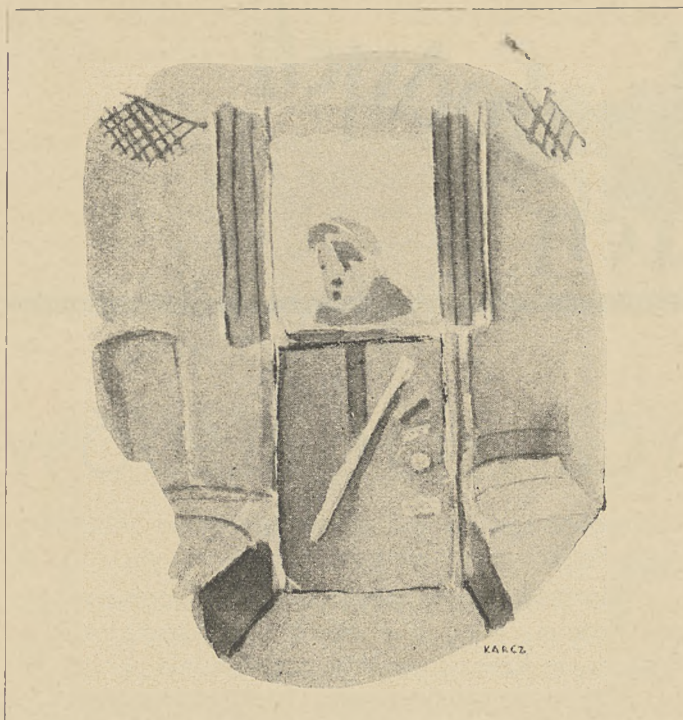
Ta mała wieżyczka cmentarna miała wielkie znaczenie dla nas kilku, którzy zaczynaliśmy uczyć się abecadła... Każdy silił się na to, by odczytać napis:

Stanisław Pohl
maszynista D. Z. S. D.
zmarł skutkiem nieszczęliwego wypadku.

Przyznam się, że czwórka tych liter niesamowite robiła na mnie wrażenie. Tajemniczość ich pochodzenia, śmierć maszynisty i ten pomnik przekraczały ramy bajek o 12 rozbójnikach i kopciuszku — a nawet dziś tak samo jak dawniej patrzę zdziwiony na czteroliterowy skrót, nieodgadniony dla wtajemniczonego. Co to oznacza? Tajemnica rodziny p. Pohlowej.

Całe miasto w Zaduszki szeroko otwiera oczy





wpatrując się w tajemnicze znaki. A szacunek jaki z tego płynie dla stojących przy grobie?

* * *

Pani Pohlowa zamiatała wagony kolejowe na tej samej stacji, na której ja — wstyd przyznać — kradłem węgiel. Czasem pomagałem jej przy zamiataniu 3 klasy (wagony 2 klasy p. Pohlowa zawsze sama zamiatała) i dostawałem za to kawałek węgla; czasem biegałem do domu mej pracodawczyni po worek, zapomniane śniadanie lub odnosiłem brudne naczynia, w których p. Pohlowa przynosiła sobie obiad.

Węglokrady to złodzieje — a ja byłem wtedy dumny, że potrafię za zarobiono-uzbierano-kradziony węgiel kupić książki i zeszyty, że nikt mi nie pomaga i że w domu ja daję „na opał". Nawet się z tego nie spowiadałem.

* * *

...Było to, zdaje się 13 marca (p. Pohl była przesądna i skrupulatnie unikała trzynastek) jakiegoś tam roku i krewka ta niewiasta krzątała się niezwyle żywo po wagonach. Słońce wlewało się strugą do przedziałów. Pani Pohlowa przyniosła ze sobą nową sukienkę, w którą się przebrała po odkurzeniu ostatniego przedziału, szturknęła mnie w ramię i zawołała:

— No, co się patrzysz gamoniu, Naczelnik Państwa jedzie do Spały i w Tomaszowie przesiada do auta (linię kolejową do Spały wybudowano później) — stań w oknie pierwszego wagonu, to go zobaczysz!

Pobiegłem, biegłem bardzo prędko...

Na peronie kilkanaście osób — kilka świerków i dwie flagi narodowe. W oknie wagonu usmolona twarz małego „węglarza" jarzyła się stałą dwojga błyszczących oczu, przed wagonem czarna plama p. Pohlowej, czekającej z zawiadowcą stacji na przyjście pociągu.

Nadbiegły cztery wagony, zaprzężone w zasapaną lokomotywę i stanęły przed oknem, z którego wyglądałem.

P. Pohlowa krzyknęła, otworzyła drzwi przedziału, wyciągnęła mnie za kark i pędem pobiegła dokoła wagonów, kiwając na mnie ręką, bym biegł za nią. Nie kazałem sobie tego powtarzać — i jak szczur prześlizgnąłem pod wagonem na drugą stronę.

Tymczasem otwarły się drzwi wagonu — wyskoczyła naprzód mała dziewczynka, a za nią powoli wyszedł starszy człowiek w szarym mundurze i maciejówce. Rozejrzał się przelotnie i oddając ukłony poszedł w stronę świerków i dwóch flag narodowych — do wyjścia. Na chwilę zatrzymał się przy jakiejś grupie, wymienił kilka zdań, a potem położył rękę na głowie Zbyszka, syna maszynisty, chłopaka, który najlepiej z nas rzucał ze „śnajdry" i — wsiadł do auta.

Długo później musiałem prosić Zbyszka, by mi pozwolił położyć rękę na głowie, na której przedtem spoczywała ręka Marszałka...

Już dawno odjechało auto, a jeszcze stałem wpatrując się w wykrojone wyobraźnią w powietrzu ramy munduru i błyszczące, na krzyż złożone buławy.

Wygnał mnie strażnik, zabrała p. Pohlowa do „swojego wagonu", by stamtąd przez okno zaglądać do pociągu, którym przyjechał Naczelnik Państwa.

Trafiła na wagon jadalny.

Boże, jakie piękne nakrycia — samo srebro. Łaziła od okna do okna i patrzyła pochłonięta jak sroka, błyskiem białego metalu, co lśnił na białym obrusie.

* * *

Jedyny raz w życiu wtedy widziałem Marszałka, dzięki horpynowatej p. Pohlowej, a tyle razy przyglądałem Mu się w kancelarii strażnika — kiedy mnie złapał wałęsającego się po stacji.

Dobra p. Pohlowa tak mnie uczyła historii... Biedna p. Pohlowa — nie ma jej kto postawić pomnika, na którym by ktoś mógł się uczyć abecadła...

polityka w młodych oczach

Antoni Czukowski

NAPRAWA HISTORYCZNYCH BŁĘDÓW

Gdy na schyłku wielkiej wojny Naród Polski geniuszem Wodza i krwawym trudem żołnierza odzyskał niepodległy byt — stanęło przed nim zagadnienie form ustroju politycznego, jakie przybrać winno Odrodzone Państwo.

Józef Piłsudski, objąwszy w listopadzie 1918 r. jako Naczelnik Państwa władzę w swe ręce — mógł ją był zatrzymać w niczym nie ograniczonych dyktatorskich ramach. Nie poszedł jednak tą drogą. Pragnął, aby Naród sam zdecydował w jakim ustroju żyć pragnie. I dlatego rozpisane zostały wybory do Sejmu Ustawodawczego.

Jednak prace Sejmu nie dały oczekiwanych przez Marszałka rezultatów. Opracowana w atmosferze walk partyjnych i wzorowana w znacznej mierze na przeżytych już mocno formach francuskiej parlamentarnej demokracji konstytucja — bardzo daleka była od ideału. Dawała też powód do poważnych obaw Twórcy i Naczelnika Państwa, Marszałka Józefa Piłsudskiego, który usunąwszy się w zacisze Sulejówka, z głęboką troską obserwował rozwój wydarzeń.

Obawy te okazały się, niestety, najzupełniej uzasadnione. Niefortunny eksperyment z fałszywie rozbudowaną na gruncie polskim parlamentarną demokracją, spowodował przebudzenie starych przywar polskich: partyjnictwa i warcholstwa. Orgii sejmowładztwa odpowiadała daleko posunięta słabość władzy nie tylko Rządu, ale i Prezydenta Rzplitej. Konstytucja marcowa opracowywana bowiem była — niestety! — pod kątem widzenia nienawiści małych karłów partyjnych do wielkiej indywidualności Józefa Piłsudskiego. Powszechnie sądzono, że On właśnie, jako najgodniejszy, zostanie pierwszym Prezydentem Rzeczypospolitej — wobec czego odarto ten Urząd z wszystkich najistotniejszych prerogatyw, ograniczając go prawie wyłącznie do funkcji czysto reprezentacyjnych.

Natomiast wszystkie najważniejsze rozstrzygnięcia z dziedziny nie tylko ustawodawstwa ale i rządzenia zastrzeżono do decyzji wielogłowego, skłóconego ze sobą Sejmu... Jak bardzo słaby musiał być taki ustrój, i jak wielkie krył w sobie niebezpieczeństwa, zwłaszcza wobec specjalnie trudnego położenia geograficznego Polski — tego nie potrzeba nikomu udowadniać.

Marszałek zrobił niespodziankę „zapobiegliwym" partyjnikom: lalką być nie chciał i kandydatury na Prezydenta Rzeczypospolitej poprostu nie przyjął. Ale usunąwszy się z aktywnego życia politycznego nie mógł zbyt długo przypatrywać się biernie, jak Państwo — mimo Jego ostrzeżeń — złą kroczy drogą, coraz bardziej dezorganizując się wewnętrznie i tracąc prestige na zewnątrz. Ta droga bez wątpienia wiodła do upadku. Pragnąc temu zapobiec — Marszałek, po długiej walce z sobą, decyduje się na stanowcze wystąpienie, które by z gruntu zmieniło groźną sytuację i zapobiegło na przyszłość możliwości jej powrotu w jakiejkolwiek formie. W maju 1926 dokonywa więc zbrojnego zamachu stanu, który ponownie oddaje władzę nad Polską — Jej Wskrzesicielowi.

Jednak, wbrew ogólnym przypuszczeniom, Józef Piłsudski nie poszedł i tym razem łatwą i zdawałoby się pociągającą drogą dyktatury. Wielki ten Wychowawca pragnął, aby Naród Polski otrzymał nowy ustrój nie jako nakaz z góry — lecz jako wynik przemian psychiki ogólnonarodowej i twórczej pracy przedstawicieli społeczeństwa. I aby nowa Konstytucja nie była tylko — jak pierwsza — kopią obcych wzorów, lecz przeciwnie, aby jak najbardziej tkwiła ona korzeniami w podłożu polskiej rzeczywistości.

W ten sposób rozpoczęta została praca nad nadaniem Polsce nowych form ustrojowych. Praca i — walka. Bo dawne partie polityczne, przewrotem majowym odsunięte od rządzenia Państwem, nie zaniechały swych prób dalszego anarchizowania życia społecznego. I wszelkimi sposobami starały się utrudnić a w pewnym okresie nawet sabotować prace nad reformą konstytucji, pragnąc powrotu „dobrych" czasów przedmajowej swawoli.

Walka ta, nie pozbawiona dramatycznych momentów, trwała lat kilka i zakończyła się porażką partyjnictwa. Mimo przeszkód ze strony opozycji, Izby Ustawodawcze uchwaliły po dłuższych pracach nową Kon-

stytucję, a dnia 23 kwietnia 1935 r. została ona podpisana przez Pana Prezydenta R. P.

Prace te nie były łatwe, chodziło bowiem o stworzenie dzieła oryginalnego, dostosowanego do psychiki Narodu i żywotnych interesów Państwa Polskiego — bez sugerowania się na użytek obcych potrzeb konstruowanymi koncepcjami. Zadanie to zostało jednak właściwie wykonane i zyskało sobie aprobatę Wielkiego Marszałka, który też na nowej Konstytucji ostatni w swym życiu złożył podpis.

Upływają więc trzy lata od chwili wejścia w życie Konstytucji Kwietniowej. Jak zdała ona w tym okresie egzamin życia? Jak ustosunkowało się do niej społeczeństwo?

Najistotniejszą cechą nowej Konstytucji jest zwiększenie uprawnień Prezydenta Rzplitej, który stał się istotnie czynnikiem nadrzędnym — arbitrem, harmonizującym działalność poszczególnych organów Państwa. Wzmacniając również poważnie pozycję Rządu — twórcy Konstytucji nie poszli jednak za wzorem koncepcji dyktatorsko-totalistycznych i nie znieśli przedstawicielstwa narodowego. Oczywiście, postarano się o zapobiegnięcie smutnym tradycjom sejmowładztwa drogą wyraźnego stwierdzenia, że „funkcje rządzenia Państwem nie należą do Sejmu" — nie mniej jednak pozostawiono Izbom normalny zakres uprawnień ustawodawczych i kontrolnych.

Otóż na podstawie trzyletnich doświadczeń stwierdzić można wyraźnie, że Konstytucja „egzamin" swój zdała bez wątpienia pozytywnie. Podstawowe zręby ustrojowe stworzone przez nią wytrzymały jak najlepiej próbę życia, ugruntowały się i rozwinęły.

Dowodem tego jest nie tylko prawidłowe, harmonijne funkcjonowanie maszyny państwowej, lecz także reakcja społeczeństwa. Nawet wśród grup, które parę lat temu ostro projekt nowej Konstytucji atakowały — ścichły dziś głosy krytyki, a zamiast nich pojawiają się tony nowe. Oto coraz częściej i powszechniej występuje tam hasło silnej władzy, jako czegoś niezbędnego w Polsce, położonej między jedną wolą rządzonymi Niemcami i dyktatorską Rosją.

Należy jasno zdać sobie sprawę, że przeniknięcie tej myśli do różnych odłamów Narodu Polskiego — a zwłaszcza młodzieży, która tę ideę całkowicie za swoją uznała — stanowi wielkie, choć z za grobu już odniesione, zwycięstwo geniuszu Marszałka Piłsudskiego. Wszak w imię tego właśnie hasła dokonał On przewrotu majowego, w myśl niego walczył z partyjną opozycją i podjął dzieło naprawy ustroju. Fakt, że ta sama opozycja uznaje dziś słuszność tego, z czym niegdyś walczyła, najlepiej wykazuje dalekosiężność i jasność myśli Wodza.

Być może pewne fragmenty nowego porządku wymagać będą jeszcze modyfikacji. Jest zupełnie możliwe, a nawet prawdopodobne, że np. ordynacja wyborcza do Parlamentu, nie będąca jednak organiczną częścią Konstytucji, ulegnie takim czy innym zmianom. Ale główna fasada gmachu ustrojowego Polski została już zbudowana, umocniła się i jest.

Nie mniej ze strony pewnych grup ludzi, których maj 1926 r. odsunął od władzy — są czynione starania, aby powrócić do stosunków, panujących w „złotych" czasach poprzedniego okresu. Wysiłki w tym kierunku czynione są często pod osłoną pięknych napozór haseł, ba! nawet przy teoretycznym uznawaniu niezbędności silnej władzy w Polsce — w istocie jednak zupełnie wyraźnie zmierzają do osłabienia tej władzy poprzez renowację systemu partyjnictwa i sejmowładztwa. Główną sprężyną tych dążeń jest więc stara tradycja „złotej wolności" i niczym nie skrępowanego warcholstwa, tradycja wiecznego sejmikowania, swarzenia się i anarchizowania życia państwowego bez względu na to, cokolwiek by się działo, bo przecież i tak... „Polska nierządem stoi"...

Lecz na nic te zabiegi! Historyczne polskie błędy nie mogą być powtórzone, a historyczne wady muszą być wypalone aż do korzeni! Wypędzony przez Marszałka upiór nie zapanuje więcej w Polsce. Nie pozwolą na to żołnierze Piłsudskiego, którzy — wbrew naszej smutnej tradycji niedoceniania i osamotniania wielkich ludzi — zaufali bez zastrzeżeń decyzjom Wodza i odbudowawszy z Nim Polskę współdziałać i pilnować dziś muszą pomnażania dorobku i realizacji Testamentu Wielkiego Marszałka. Na powrót historycznych błędów nie zgodzimy się też nigdy my, młode pokolenie!

Rozumiemy bowiem dobrze, że przy swoim położeniu geograficznym Polska może być tylko mocarstwem — albo nie będzie Jej wcale. A słabość wewnętrzna nie pozwala na prowadzenie śmiałej i niezależnej polityki zagranicznej, która w naszym położeniu jest szczególnie potrzebna, a dzięki osobistemu udziałowi Marszałka tak wspaniałe już dała rezultaty.

Konstytucja Kwietniowa, jako forma realizacji zasady silnego ustroju jest dla nas testamentem Józefa Piłsudskiego. Testamentem, który musi być i będzie wykonany.

Fr. Gruszka

IGNIS ARDENS

Dnia 2 kwietnia 1934 r. umarł Adam Skwarczyński, wielki przyjaciel i wychowawca młodzieży.

Cztery lata minęły już od Jego śmierci i w rzeczywistości polskiej zaszły głębokie, trudne wtedy do przewidzenia zmiany. Przede wszystkim odszedł największy z wielkich — i ciężar dźwigany odtąd przez Jego mocarne barki spadł na cały naród. Odpowiedzialność z jednostki spadła na miliony i pod jej brzemieniem poczęło się tworzyć oblicze jutra. Do głosu doszły nowe prądy, nowe siły -- nowe idee zaczęły zyskiwać prawo obywatelskie. Rodzące się jutro ma twarz zwróconą w stronę młodych, lecz rysy jej stanowią jeszcze tajemnicę. Z zamętu haseł, poglądów, pseudo-prawd i pseudo-wierzeń ma wyłonić się po ogniowej próbie kuźni — konstrukcja zdolna do walki, pracy i twórczości. Kuźnia ta, to nasze dusze. *Mylą się ci, którzy sądzą, że jedyną i najwyższą próbą i miarą doktryn jest rzeczywistość.* Duch ludzki nigdy nie ugiął się i nie ugnie przed chaosem zjawisk i dopiero jego wyroki są ostateczne.

Nie wystarczą pseudo-efekty doktrynalnych rozwiązań, nie wystarczą nawet chwilowe zwycięstwa. Aby doktryna czy idea mogła stać się podstawą pracy i rozwoju społeczeństwa, musi ona podbić dusze obywateli, musi podbić *dusze młodzieży*. Jeśli tego nie dokona — będzie efemerydą, meteorem, sensacją dnia, czy roku — sztucznym tworem cieplarnianym, lecz nie siłą, zdolną prowadzić państwo w wielką i potężną przyszłość.

Tym, który w pracowitym trudzie dusze młodych kształtował, który najlepsze swe siły i najpiękniejsze myśli młodzieży polskiej poświęcił, był Adam Skarczyński. Słowa i myśli jego sięgały niby błyski w najgłębsze mroki tysiąca problemów, ukazywały najistotniejsze myśli i wiązania -- świadczące jak cała ta kunsztowna budowla na sile człowieka jest wsparta.

I w tym potężnym zjawisku, które stoi u wrót czasu -- łamania tego, co niskie, brudne i głupie -- wyzwalania się z pęt karlów, którzy chcą skraść słońce — wodzem naszym jest Adam Skwarczyński. Imię jego stało się symbolem walki — nie żywiołowego buntu z ziemi powstałych gigantów, lecz walki prometejskiej o prawo do światła i wielkości. Wlewał w dusze młodzieży wiarę w potęgę zorganizowanej woli ludzkiej, wznawiał kult prawdy i siły. Wykazywał, iż wielki wysiłek ducha i rąk zdolen jest najcięższe pokonać przeszkody — fantazję uczynić rzeczywistością, uczył nas romantyzmu — tak, lecz uczył i twardej, konsekwentnej pracy. „*Prawda jedyna w czynie ludzkim*", pisał, lecz czyn ten winien być na miarę olbrzyma, szanować każde, najdrobniejsze poczynanie — wiedzieć, iż potęga państwa zależy od dobrze przyszytego guzika żołnierza, od solidnej pracy ucznia — *mieć duszę otwartą na przyjęcie wielkości — mieć duszę dość silną, by pod jej ciężarem nie upadła.*



Adam Skwarczyński (2) wśród internowanych w Modlinie w r. 1918.

Wierzył w nadejście wielkiej godziny młodych — czasu, kiedy trzeba będzie wytężyć wszystkie siły i za najlepszą szkołę, która winna te wielkie chwile poprzedzić, uważał szarą, codzienną, uczciwą pracę na realnych odcinkach — pracę nie mrówek czy automatów, lecz świadomych, twórczych, młodych obywateli — pracę, w którą każdy by mógł całą swoją duszę włożyć. Był romantykiem — lecz był przeciwnikiem fantazjotwórstwa -- walczył z ciasnotą doktrynalnych rozwiązań, nie mówił: chcę, aby Polska była taka — mówił: chcę, aby Polska była silna. Koncepcja, plan, doktryna winny tej sile służyć -- a nie przeciwnie.

Cenił godność i wolność ludzką -- nie negował indywidualnych wartości, chciał, aby wszystko co w nas najlepsze służyło narodowi zorganizowanemu w państwo.

Ignis ardens.

Promieniowała z niego jakaś dziwna siła. Dziś żyje ona zaklęta w Jego pismach. Odczytuje ją — kto ma duszę na wielkość otwartą.

Czesław Domaradzki

NAD „CHIMERĄ" STRUGA

Mojemu ojcu.

Lata 1910-14. Na opadłych wodach ruchu rewolucyjnego. Warszawa, Kraków, Paryż, Zakopane. Redakcje, biura, dystrybucje, kawiarnie: pogorzeliska wielkiego pożaru, przy których zgromadzili się ostatni ludzie epoki bomby i braninga: teroryści, publicyści, technicy, których nie ogarnęła wielka fala aresztowań. Namiętne, niekończące się nigdy dyskusje zasadnicze; sylwety idealistów rewolucji, stawiających całe swe życie na jedną kartę. Przygasające płomienie — werbalizm, zaślepienie — ponad tym uporczywa wiara w słuszność sprawy, przekonań, idei, wiara łącząca wszystkich ludzi z nieprawdziwego zdarzenia walki, której już nie ma. Oto materialne i psychologiczne tło ewolucji duchowej bohatera Przesława Borszowskiego, romantyka o wiecznie zmiennej uczuciowości i wciąż różnym stosunku do — wiążącej grupę występujących w powieści ludzi — sprawy, która nazywa się POLSKA.

Przesław, przesubtelniony romantyk idei i środków, niejednolita psychicznie natura poszukiwacza prawd wielkich i słów trwałych, filozof codzienności, którą pragnąłby podnieść na piedestał heroicznej walki o wolność, ten bohater, absorbujący w toku powieści uwagę autora, jest doskonałą antytezą naszkicowanej na marginesie postaci *Miecza*. Prawda historyczna w sylwecie exszefa Organizacji Bojowej P.P.S. każe nam doszukiwać się literackiego portretu Józefa Piłsudskiego, portretu tym ciekawszego, że stworzonego przez towarzysza idei i broni.

„Chimera", to próba syntezy psychiki narodowej w latach 1910, oparta na wspomnieniach autora i zamierzona jako powieść autobiograficzna, to obraz biadoleń i załamywania rąk na gruzach upadłej rewolucji i „rozkwitających pąków białych róż" nowej polskiej armii. Okres Zw. Walki Czynnej w historii naszych ruchów wolnościowych, to nieprzerwane pasmo cichej, codziennej roboty, starań o każdą skrzynię ladunków i o każdy nowy karabin. Okres największego napięcia psychicznego nielicznej garstki ludzi stojących na czele ruchu, wiecznych entuzjastów, „przymusowych turystów" i narodowych jałmużników, co głodnym dniem i bezsenną nocą tworzyli kadry przyszłej polskiej armii. Strug przedstawił w powieści trzy grupy: 1) ex-bojowców i exspiskowców, niedobitków ruchu terrorystyczno-strajkowego, 2) passywistów i oportunistów, rzucających walczącym pod nogi kamienie, odwiecznych złowróżbnych wieszczów klęski i 3) nieliczną garstkę aktywnych, wiecznie nowych form ruchu poszukujących działaczy, szaleńców, którzy do stracenia mieli tylko jedną wielką rzecz — ideę. Na tym właśnie tle naszkicował Strug-legionista („Chimerę" napisał w czasie rekonwalescencji w Zakopanym równocześnie z „Odznaką za wierną służbę" w r. 1916) kilkoma mistrzowskimi pociągnięciami pióra sylwetę ob. Miecza — portret Piłsudskiego tych czasów: „*Nie odkrył w nim ani żałoby po wielkich zamiarach, które umarły, ani wyczerpania po krwawym trudzie tych lat, ani przygnębienia po klęsce. Widniało w nim zawsze to samo piętno siły. Jeszcze dobitniej wypisała się na twarzy uparta zawziętość woli. Snać na zawsze pozostanie ów surowy skurcz pod uszami. Oczy zapadły głębiej popod krzaczaste brwi i, pomijając wszystko, co go otaczało, patrzyły gdzieś daleko — w przyszłość niewiadomą*".



A więc prosto, bez uciekania się do nadzwyczajnych środków artystycznej wypowiedzi, zwierza się autor czytelnikowi z cech, jakie mu ciążą, z bezwolności wielkiego erudyty i myśliciela, jakim jest Przesław, wobec Miecza, uosobnienia znoju walki i trudu organizowania — syntetycznego typu Wielkiego Bojownika. Podkreśla tymczasowość przebijającą z każdego szczegółu gospodarstwa Mieczów, dwojga, zawsze na czołową placówkę wysu-

niętych ludzi. W prostym, a jednak barwnym i niepospolitym opisie czuć nutę podziwu czy uwielbienia dla Miecza i jego żony, niespotykanego gdzieindziej w książce podziwu, niespotykanego u Przesława, cynika-idealisty, romantyka-szydercy. Przesław, jak każdy szeregowiec ówczesnej, niezorganizowanej jeszcze armii, pragnąłby przejrzeć zamiary wodza, dowiedzieć się, co kryje się w mózgu i sercu tego już po tysiąckroć razy przypieranego przez życie do muru człowieka, w którym jednak nie można było odkryć *„ani żałoby po wielkich zamiarach..., ani wyczerpania po krwawym trudzie..., ani przygnębienia po klęsce. Widniało w nim zawsze to samo piętno siły"*.

Z całej książki przebija odczucie dystansu psychicznego, jaki dzielił Miecza od towarzyszy, z którymi razem pracował i na przyjacielskiej pozostawał stopie. *„Mówił mało, prawie nic"*, a jednak zmuszal każdego, obcującego z nim bliżej towarzysza do podświadomego, spokojnego posłuszeństwa, do wykonania przyjacielskiej prośby, jak rozkazu, do stwarzania we własnej wyobraźni nieistniejącej w rzeczywistości granicy między sobą a Mieczem, między grupą a nim jednym. Miecz wyrasta nad tłum swoją zdolnością wnioskowania i rozstrzygania, nieuznawaniem kompromisów i wkładaniem w słowa o treści napozór banalnej i prostej wielkiego potencjału psychicznego, który raczej można było odczuć, niż pojąć. W słowach Miecza drzemała zawsze jakaś ukryta nieznana siła, której ujście dać mógł dopiero w „robocie" lub w polu, w zapamiętaniu się, w oddaniu bez reszty wielkiej pasji tworzenia.

Oczyma Przesława widzi Strug ciche, wewnętrzne zmagania Miecza nad sobą, nad własnym postanowieniem, nad podjęciem rzeczy niesłychanej. W bólu i męce rodzi się w duszy Wielkiego Człowieka idea, która postawi w karnych szeregach w Krakowie i w Paryżu, w Tarnowie i w Leodium najpierw 40, potem 200, 400 młodych zapaleńców, co po nocach będą wykuwać na pamięć taktykę lub regulamin piechoty, a raz w tygodniu w Kajzerwaldzie czy w lasku Chaville gonić będą aż do zmęczenia, po mokrej, gliniastej ziemi, padać, powstawać, znów biec — nie z wiary w romantyczną wizję powstającej Polski, lecz z wiary w prawdziwość przezeń głoszonych idei zbrojnego pogotowia. To grono uwieńczonych w kilka lat później przez historię gałązką rozmarynu chłopaków, to fundament, na którym Miecz opiera swe zamiary, wierząc, że istotnym założeniem programu musi być niezłomne dążenie, „aby to, co było szaleństwem stało się także i rozumem polskim" (Pisma t. IV, str. 9). Patrząc na tę niezłomność twórcy polskiej siły zbrojnej w chwili, gdy ilość jego nowych adeptów nie przekraczała czterdziestu osób, Przesław *„uwierzył wreszcie, że powstaje przed jego oczyma jakiś wielki początek"*.

To zdanie zamyka w sobie bez reszty stosunek Struga do Piłsudskiego: zaufanie, oparte nie tylko o wiarę w słuszność głoszonych przez niego idei walki, ale wynikłe z przekonania, że tylko ON jeden mógł kierować walką, bez oglądania się na prawo i lewo, bez nadsłuchiwania ech i odgłosów, w myśl tego, co mu dyktowały nakazy wewnątrz. On jeden miał prawo komenderowania w walce o to, *„by ze zgliszcz i mogił, z głodu i moru, dotknąwszy dna piekieł, sponiewierana jak pies bezdomny, wyłoniła się wizja wielkiej Polski"*.

JÓZEF PIŁSUDSKI. PISMA ZBIOROWE. Wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych, Warszawa 1937/38, opracowanie i nakład Inst. Józefa Piłsudskiego poświęconego badaniu najnowszej historii Polski.

Leży oto przede mną 10 tomów w szaro-błękitnej oprawie. Ponad 3000 stron, na których znalazły miejsce myśli tak wielkie i uczucia tak potężne, że dziw, iż spokojnie wyrażają je czarne, jednakie litery tekstu...

Od znanych i drogim nam wszystkim prac jak „Moje pierwsze boje", „Rok 1863", „Przemówienie w Brystolu" i innych aż do artykułów z Robotnika i Przedświtu, telegramów, wywiadów, odpowiedzi. Jakże wielka skala rozpiętości, jak niezwykłe bogactwo treści! I gdy tak patrzę na winietę okładki, w której widnieje marszałkowska buława na zwoju papieru ponad skrzyżowanymi gałęziami wawrzynu i dębu, cofam się myślą w niezbyt odległe jeszcze czasy, a przecież tak dawne, gdy Autor żył i „na marginesie walki i pracy" rzucał na papier słowa, w których była zawsze moc siły, a często tkliwość sentymentu. Jak niedawno jeszcze to słowo i ta buława miały moc władczą rzeźbienia historii w sposób bezpośredni! Zda się, iż brzmi jeszcze w uszach: „Gdy kamień na taflę spokojnej wody rzucamy, powstają kręgi idące wszerz i zamierające powoli. Tak żyją ludzie, gdy śmierci bramy przepastne przekroczą. Kręgi powoli zamierają i nikną, pozostawiając po sobie pustotę a nawet zapomnienie. Prawa śmierci i prawa życia są bezlitosne".

Zda się, że jeszcze rozbrzmiewa dokoła echo słów: „a jednak prawda życia ludzkiego daje nam i inne zjawiska. Są ludzie i prace ludzkie tak silne, i potężne, że śmierć przezwyciężają, że żyją i obcują między nami". Czyż może być tekst bardziej aktualny w odniesieniu do tych właśnie tomów 10-ciu, tomów, które pisało życie największego człowieka Polski.

Gdy przerzucamy te karty, oczy wracają wciąż do słów dobrze znanych: „Kraj nasz stanowi zresztą prawie wyłączne miejsce, w którym według prawodawstwa moskiewskiego Żydzi mają wolność osiedlania się. Pomimo tej niezmiernej ilości Żydów, pomimo podburzeń ze strony rządu i jego organów, byliśmy dotychczas oszczędzeni od gwałtownych wy-

Z książek

TADEUSZ WIEROŃSKI. TESTAMENT IDEOWO-WYCHOWAWCZY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W ŚWIETLE PISM I PRZEMÓWIEŃ. — Warszawa 1937. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Wydana drukiem praca dyplomowa jednego ze słuchaczów Państwowego Instytutu Nauczycielskiego, stawiająca sobie za cel „uchronienie żywej i nieśmiertelnej myśli pedagogicznej Marszałka przed zmarmurzeniem", jest jedną z nielicznych pozycyj literatury konstruktywnej, jeśli tym mianem określić wolno wszystko, co ma na celu krystalizowanie i urabianie typu Człowieka i Obywatela.

Książka dzieli się na cztery części: I Zrąb etyczny i konstrukcja podstawowych zasad pedagogicznych Marszałka, II O rodziny i rdzenny typ kulturalny Polaka, III Z rozmyślań o Państwie Polskim, IV Synteza i refleksje. Jak wskazuje tytuł, jest ona oparta o cytacje z dzieł Józefa Piłsudskiego i mieści w sobie uszeregowane systematycznie, w rzeczowym kwestyj porządku, te wszystkie zdania i poglądy, jakie w różnych okresach życia wypowiadał Józef Piłsudski wobec pewnych zagadnień, jak np. kształcenia charakteru, wychowania fizycznego i t. p.

Książka ta, rezultat długiej i żmudnej pracy jest zbudowana na następującym założeniu: „są różne sposoby wcielania idei i przekazywania jej potomności: pierwszy, to łatwy, odświętny i powierzchowny sposób zakuwania żywej treści w kamień i brąz pomników... sposób wyrażania słowem i symbolem postawy uczuciowej narodu względem idei i drugi sposób, to niełatwy, głęboki i codzienny trud kształtowania własnej osobowości..., by wziąć w swą duszę żywą treść idei..., by wyznawać ją poprzez czyn, by przyjąć ją jako najgłębsze credo pracy nad udoskonaleniem form życia społecznego".

Książka Wierońskiego ma być tego rodzaju pracy elementarzem, podręcznym vade mecum wśród poglądów Józefa Piłsudskiego, opracowaniem i rozszerzeniem Jego postulatów, jako wychowawcy narodu, który „skazuje na wielkość". Z każdej strony bije gorzka, gryząca prawda, której On nigdy nie żałował, że jesteśmy narodem dejutrków, niezdolnym do wielkich poświęceń, lecz jakże chętnie podcinającym skrzydła nielicznym Ikarom, rwącym się do lotu ku światłu, by rozjaśnić mroki wiecznej polskiej nocy.

Po przeczytaniu tego dzieła ujmującego w przedmiotowym porządku poglądy Marszałka na szereg odrębnych zagadnień życia państwowego, raz jeszcze chylimy głowę przed wielkością geniusza zaabsorbowanego wiecznie czynnym życiem politycznym, „aktywnego altruisty", jak Go określił Żeromski, co przy 16 godzinach pracy na dobę potrafił interesować się wszystkimi, ale to dosłownie wszystkimi zagadnieniami życia państwowego i politycznego. Z nakazów Człowieka, który całe życie był w pogotowiu na najbardziej na czoło wysuniętej placówce wypływa ta oto myśl: „M u s i c i e z o s t a ć n a r o d e m ż o ł n i e r z y".

I to jest najcenniejszy, najbliższy sercu rozkaz.

Cz. D.

---

buchów ruchu antysemickiego...". I bezpośrednio potem ostrzeżenie pod adresem żydów, ostrzeżenie, w którym mieści się niezwykle trafne przewidywanie wypadków, które dziś stały się rzeczywistością i analiza psychiki żydowskiej jako jednej z istotnych przyczyn.

A dalej: „Był cień, który biegł koło mnie i to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka, cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach wypluwający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co oszczędzać trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający całą myśl odwrotnie — ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodłączny duch, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów — to obcego, to swojego państwa, krzyczący frazesy, wykrzywiający potworną gębę, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, niodstępnym towarzyszem doli i niedoli, nieszczęścia i szczęścia, zwycięstwa i klęski".

I nic nie zdoła wytrzeć tych słów ze spuścizny pisarskiej Marszałka i pozostaną na zawsze piekącym wyrzutem wobec narodu, który nie umiał zdobyć się na „zbiorowy cud siły moralnej", gdy rósł wśród niego On — największy na przestrzeni naszych dziejów. „Pisma zbiorowe" są, będą, muszą być zawsze żywą treścią dla tego rachunku sumienia, który trzeba nieustannie wykonywać na każdym szczeblu pracy zbiorowej, jeśli ma ona wieść naród drogą Marszałka — jedyną drogą potęgi.

Straszno bowiem postawić pytanie: czyliż praca całego życia Wielkiego Marszałka, życia, które dla Polski się wypaliło w zniczu ofiarnym, próżną była? Czyż w najgłębszych pokładach dusz nic się nie poruszyło i na ugorach swawoli te same karły panują? Czyliż życie jego było tylko kamieniem, który zapadł w fale historii i po którym kręgi coraz bardziej zanikać będą?

Nie sądzę, widzę i wiem, że są — nie tylko wśród Jego dawnych żołnierzy ale i wśród młodego pokolenia — gromady takich ludzi, którzy gotowi są nawet ofiarą całego życia urzeczywistniać testament wodza. Jest cnota szczególnie dla młodych ponętna — to bohaterstwo. Dlatego też tym wszystkim, w których duszach płonie zarzewie buntu przeciw rzeczywistości, buntu, który wznieca duch — wieczny rewolucjonista — wołam: czytajcie te tomy! Słowo po słowie. Syćcie swe dusze goryczą prawdy i radością mocy, daje to bowiem władzę przetwarzania rzeczywistości, co jest obowiązkiem każdego, kto zaprzysiągł wierną służbę ojczyźnie.

M. Witkowski.

Reportaż z Muzeum Wojska

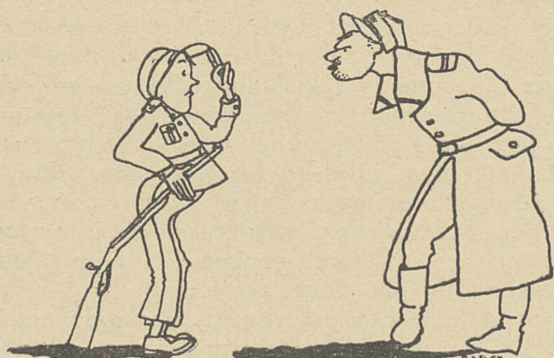
WŚRÓD STRZĘPÓW ŻOŁNIERSKIEJ EPOPEI

Jakże wypowiedzieć uczucie, gdy stajemy nagle przed gablotą, gdzie złożono pierwszy mundur Józefa Piłsudskiego — siwą burkę, w której odbył kampanię legionową. Leży sobie pośrodku sali legionów błękitny, bez odznak, o wytartych szwach, a wokół niego prężą się na manekinach, jakby delegacje wszystkich pułków legionowych. Patrząc na ten milczący „apel mundurowy" zapomina się, że jesteśmy już tylko w muzeum. Tak silnie przemawia stąd do każdego żywa idea żołnierska. Nie tylko zresztą z tej jednej sali. Cała pierwsza część muzeum poświęcona jest dziejom odrodzenia tej idei w Polsce. Dlatego wędrówkę naszą po salach zaczynamy nie od epoki kamiennej czy brązowej ale od powstania styczniowego. Wszystko tu jakby wyjęte z obrazów Grottgera, które wiszą rzędem na ścianach. Więc — kosy na sztorc, strzelby i krócice, które były w powstaniu, płachty sztandarów i bure świtki powstańców, którzy w nim polegli. Zostały po nich drobiazgi w gablotkach, oddane po śmierci rodzinie: jakaś sakiewka, sygnet, zegarek, przechowywany i czczony jak relikwia. Są tu i pamiątki męczeńskiego okresu po powstaniu: świtki zesłańców, mundur Platera, kajdany Traugutta... On sam, w cierniowej koronie, wznosi się ponad salę jak posąg świętego. Ten uroczysty, niemal kościelny nastrój pryska jednak odrazu przy wejściu do następnej sali. Jeszcze tylko jakiś bojowiec z 1905 r., z rewolwerem w ręku..., trochę tajnych rozkazów i już: „raduje się serce, raduje się dusza" bo to sala pierwszej kadrowej i całej leguńskiej kompanii. Ze ścian patrzą roześmiane twarze w maciejówkach, aż jasno od siwych burek, szabel i rabatów ułańskich. Żołnierze I-szej Brygady nie poskąpili darów dla muzeum. Złożono tu na wieczność całą przysłowiową biedę leguńską: sfatygowane mundury, jakieś sztylpy a nawet buty i w butach dziury. I odtąd aż do końca przechodzimy szpalerami mundurów. Coraz ich więcej, coraz więcej sztandarów, broni, bitw na obrazach i pamiątek w gablotkach. Jednym rzutem oka można ogarnąć tę wielką wojnę o Polskę, jaka toczyła się od frontów zachodnich aż po Murmań. Sensacją jest tu oczywiście — Baśka Murmańska, zawsze i wszędzie wierna swym Murmańczykom. Zły los nie pozwolił jej dożyć starości w nowej ojczyźnie. Ale zato pozostała na zawsze młoda. I tak na swój niedźwiedzi sposób urodziwa, że jeszcze w muzeum po dawnemu budzi powszechny zachwyt. Teraz pilnują jej już wszystkie formacje wschodnie: szynele późnych pułków z białoczerwonymi odznakami. W ogóle gdzie spojrzeć — inny krój munduru. Żołnierz polski wdziewał co miał i tylko rozetką, polskim napisem dawał znać, że już jest i że walczy o wolność. Czytamy np. taki ciekawy napis: „Polscy Rycerze w Amsterdamie". Mowa tu o Amsterdamie **amerykańskim**, a napis **polski** wyhaftowany na **francuskim** kepi. Takich osobliwości jest więcej. Na jednym ze sztandarów można np. odczytać zdumiewającą historię. Jest to sztandar grenadierów carskich, którzy w walce z legionem Dąbrowskiego otrzymali order św. Jerzego. Order ten przywiązali do drzewca. Nie koniec na tym. Sztandar oddziedziczył jakiś pułk bolszewicki, a bolszewikom zabrali go polscy partyzanci I korpusu i w ten sposób — po stu latach — wzięli odwet za carskich grenadierów.

Bardzo ciekawie przedstawia się wygląd zewnętrzny żołnierza już po zdobyciu niepodległości. Tylu typów ekwipunku i uzbrojenia nie było chyba w żadnym państwie. A dziś? Mając w oczach niedawną defiladę, możemy ocenić, co w tej dziedzinie dokonano w armii. Zdumieć musi przy tym inna rzecz: na jaki bohaterski wysiłek musiał się zdobyć ówczesny żołnierz. Przecież pośród tych sal jest taka, gdzie nawet muzeum nie miało co pokazać. Jakże tu pokazać mundury orląt lwowskich lub uzbrojenie bohaterów Zadwórza? Został po nich strzęp sztandaru, trochę zawadiackich twarzy na rycinach i wspaniały obraz Batowskiego. I tu ku końcowi części pierwszej muzeum zmienia się w wspaniały panteon zwycięstwa nad bolszewikami. Pokazano tu po raz pierwszy polskie bronie nowoczesne, działa, modele samochodów pancernych i samolotów. Lotnik z r. 1920 przypomina nawet z munduru lotnika dzisiejszego. Za szkłem zgromadzono szczątki broni polskiej i bolszewickiej, zebrane z pobojowisk. W osobnej gablocie — jakby emblemat „cudu nad Wisłą" — leży mały ozdobny krzyżyk, „wyjęty z ręki ks. Skorupki". Kończy się ta część — dumną alegorią. Trzydzieści czerwonych sztandarów bolszewickich pochyla się w hołdzie przed Pierwszym Marszałkiem.

Z tym obrazem w oczach zaczynamy dopiero zwiedzać muzeum — od początku. Pierwszy okaz wojenny — praszczur wszystkich broni, jaka się tu znajduje — to kawał krzemienia ociosany w kształt toporka. Połóżmy obok niego jeszcze trzy takie toporki: z kamienia gładzonego, z brązu i żelaza a będziemy mieli przegląd uzbrojenia słowiańskiego przez długie wieki. Nie trzeba sobie wcale wyobrażać, jak wyglądał taki dawny wojownik słowiański. Leży tu w szklanym sarkofagu jakiś wódz słowiański, przeniesiony cząstka po cząstce z przedwiecznego kurhanu. Na czaszce jego znać ślady cięć, od których pewnie zginął. Pochowano go w pełnym uzbrojeniu, nie brak nawet strzemion i puchara. Wszystko to zjedzone już częściowo przez rdzę, prócz złota, którym szczodrze się obwieszał. Na drucianej kolczudze — rzecz poprostu nie do wiary — widać złoty wizerunek Chrystusa. Wódz pogan musiał go chyba złupić gdzieś a może przywiózł z swych wypraw bizantyjskich. Teraz leży w ogromnej sali, która wygląda jak arsenał. Pełno tu rozmaitej zbroi z dawnych i późniejszych czasów, od Sarmatów i Polan — do husarii Sobieskiego. Szafa po szafie — odbywa się prawdziwy wyścig zbrojeń: na miejsce grotów z kamienia zjawiają się wnet łuki i kusze, kusze ustępują wkrótce miejsca strzelbom, które wyglądają jak armaty i liczą sobie 2 metry długości i ze 20 klg. żelaza. Podobnie ma się rzecz z miecza-

KARCZ



„P R Z E-

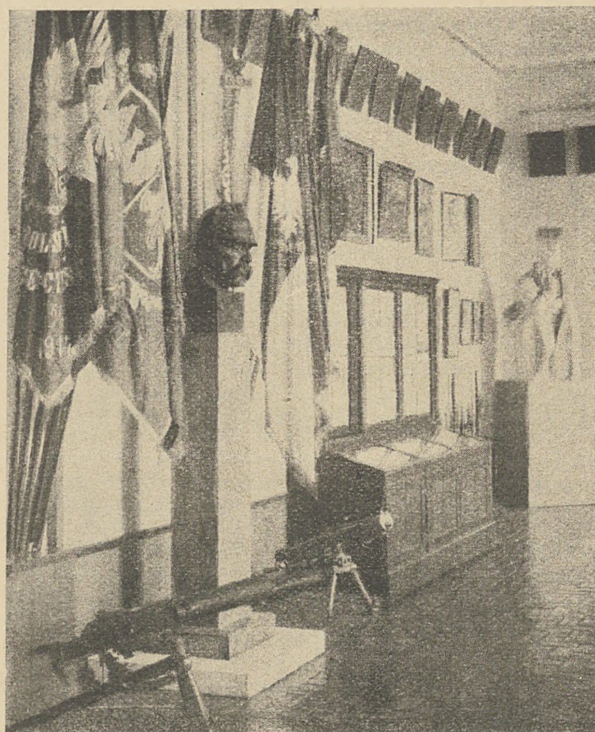


mi. Polak miał ciężką rękę, nie lubiał cudzoziemskiego rapiru, cienkiego jak szpilka — wolał swój półtorametrowy koncerz lub szablę czarną czy tzw. „batorówkę", jakiej używał sam król-żołnierz. Leży tu między innymi i ta znakomita pamiątka, ozdobna szabla Batorego. Nade wszystko zaś kochano się w dobrej głowni. Na ostrzach szabel czytamy jakieś długie tureckie napisy. Chętnie widać nabywano te głownie u Turków, po to by je szczerbić potem na pogańskich głowach. Pokaźną część sali zajmuje właśnie taki rycerz z wyprawy wiedeńskiej. Jest to husarz na olbrzymim koniu, skrzydłami sięgający aż do sufitu. Ciekawa jest również kolekcja pancerzy. Towarzysz pancerny, zakuty wraz z koniem w żelazo od kopyt aż po pióropusz, nie wiele różnił się od dzisiejszej tankietki. Tyle, że był mniej zwinny w ruchach. Dlatego pancerz kurczył się z czasem coraz bardziej aż zmalał do wielkości — ryngrafu na piersiach konfederatów barskich. Te ryngrafy z Bogurodzicą wiszą właśnie w następnej sali. Ale to już inna epoka. Nie ma tu już śladu „czarnych" szabel. Znikły hartowne zbroje. Pełno tu za to wojska od parady. Stoją w szafach saskie grenadiery w złocistych infułach, po ulicach Warszawy chodzi biało-pomarańczowa policja! Lśnią się od klejnotów strzelby myśliwskie króla Stasia, pochwa szabli oficerskiej znaczy już więcej niż ostrze. Ostrza znajdziemy dopiero w sąsiedniej sali. Stoją tam rzędem chłopskie drągi kosynierów a obok sztandar z napisem „żywią i bronią". Jest to sala Kościuszki i Kilińskiego. Odmalowano tu losy całej insurekcji, od przysięgi na rynku krakowskim aż do więzienia w Petersburgu. Nie brak nawet drobiazgów, wykonanych przez Kościuszkę w więzieniu, i pamiątek po nim jak brzytwa, i koszula... czy garnuszek z pełnym rozpaczy wykrzyknikiem: Boże! W następnych salach mamy przed oczyma żywą ilustrację do słów mazurka Dąbrowskiego. „Jeszcze — nie zginęła"! — żyje teraz na szablach żołnierzy Dąbrowskiego i wiarusów napoleońskich. Rząd tych szabel prowadzi do niewielkiej komnaty, gdzie wypisano szeroko: „Nauczył nas Bonaparte, jak zwyciężać mamy". Na wzniesieniu leży tu pośmiertna maska cesarza — w promieniach wielkich zwycięstw. Obok — pamiątki po ks. Józefie, a więc szabla bojowa, mały żelazny pierścionek... O tym pierścieniu powiadają, że wykonano go z podkowy konia, który niósł ks. Józefa do ostatniej bitwy. Znalazł też w muzeum schronienie pomnik ks. Józefa, który miał początkowo stanąć na placu Saskim. Nie dorównał jednak dziełu Thorwaldsena, chociaż rzeźbiarz Ortowski przedstawił tu ks. Józefa właśnie w tym stroju, w jakim zdobył on sławę u potomnych.

Jak szeroko po świecie rozeszła się ta sława, może świadczyć gablotka, w której znajduje się stary serwis francuski. Na talerzach wymalowano szereg scen z życia ks. Józefa — tylko niebardzo fortunnie, tak, że np. scena końcowa przedstawia ni mniej ni więcej, tylko... żonę i dzieci ks. Józefa, opłakujące zgon bohatera.

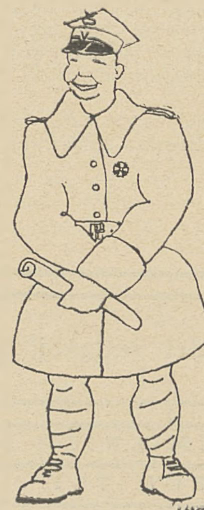
Cała epopea napoleońska przedstawiona w tych salach najlepiej ukazuje braterstwo broni francuskiej i polskiej. W tłumie mundurów nie bardzo nawet można się rozeznać, co Polak a co Francuz. Tu i tam ta sama żołnierska moda i obcisłe, ogoniaste fraki, wytworne, złotem szyte kamizelki... tyle tylko, że na francuskich epoletach haftowano listki dębowe a na mundurach Księstwa Warszawskiego — złote wężyki. Takie same jak dzisiejsza nasza „błyskawica generalska", która właśnie stąd wzięła swój początek.

Tych fraków mamy jeszcze aż cztery sale, są to już jednak mundury królestwa kongresowego. Pierwszy raz bodajże oglądamy tu nowoczesne bronie, umundurowane — każda inaczej, w najdrobniejszych szczegółach. Znać po nich niezgorszy rygor i dbałość o wojsko. Nic dziwnego. Bił na to zaciekle ów nieproszony wódz, ale za to rozmiłowany w mundurach znawca — Wielki Książę Konstanty. Błyszczą więc po szafach białe rabaty ułanów, żółte — czwartaków, czarne sapery i zielone „surduty" artylerii. Wszystko to nowiutkie, prosto z igły, znać, że prochu nie wąchało. Ale tylko w trzech salach. Bo w czwartej i ostatniej — czuć wyraźnie prochem bitewnym, a może się tylko tak wydaje. Ten sam kask ułański, który tam lśnił się jak lustro, tu leży sczerniały, strzaskany, z wielką dziurą od kuli... ponad daszkiem. Znaleziony gdzieś na pobojowisku listopadowym, więcej mówi o powstaniu, niż najpiękniejsze stroły Nocy listopadowej, niż obraz Guilbera, sławny w całej Europie, który też tu wisi: Umierający w mrocznym zaułku żołnierz pisze krwią na murze: „Jeszcze Polska nie zginęła"...



M I A N Y"





KRONIKA STRAŻOWA

KRONIKA ORGANIZACYJNA DZIAŁU ŻEŃSKIEGO.

Zjazdy okręgowe żeńskiej Straży Przedniej.

1. 20 lutego w Lublinie w Gimnazjum Państwowym im. Unii Lubelskiej odbyła się odprawa żeńskich zespołów lubelskich, na którą przybyła z Warszawy ob. Naczelniczka Organizacji. W obradach, którym przewodniczyła ob. Naczelniczka Okręgu P. Jarosławska, wzięła również udział dyrektorka Gimnazjum im. Unii Lubelskiej p. Janiny Mally. Omówiono organizację pracy w II-gim półroczu i sprawy obozowe.

2. **Zjazd Okręgu Pomorskiego.** W dniach 5 i 6 marca b. r. odbył się w Toruniu zjazd żeńskiej Straży Przedniej. Przybyło 100 osób, reprezentowane były zespoły całego Okręgu, a niektóre przybyły w pełnym składzie. Na otwarcie zjazdu przybył p. Kurator Ryniewicz, który w serdecznych słowach przemówił do członkiń zjazdu po uroczystości ślubowania, wyrażając zadowolenie z pracy Organizacji na zachodnich kresach i życząc dalszego pomyślnego rozwoju dla tej pracy tak pożytecznej i tak ważnej na tych terenach. Przybyli również na uroczystość: Instruktorka W. F. w Kuratorium p. Zaleska, Instruktor Oświaty Pozaszkolnej p. Myjak, dyrektorka gimnazjum im. Królowej Jadwigi p. Szpręglewska, u której zjazd się odbywał, Naczelnik Okręgu Pomorskiego ob. J. Regel oraz ob. ob. instruktorki Okręgu Pomorskiego.

Na zjazd przybyła z Warszawy ob. Naczelniczka Organizacji. Ślubowanie złożyło 30 obywatelek.

Po uroczystości ślubowania p. Nowicka, komendantka P. W. w Okręgu Pomorskim omówiła zagadnienie roli i zadań kobiety w obronie państwa, po czym p. wiz. Kochanowski, instruktor Oświaty Pozaszkolnej mówił na temat „pracy kulturalno-oświatowej na terenie wsi" dając szereg cennych wskazówek dla pracy zespołów w tej dziedzinie i wskazówki bibliograficzne dla tego tematu.

Po przerwie obiadowej dyskusję na temat: „Jak propagować na wsi idee spółdzielczości" zagaiła ob. Pawłowska. Garść uwag na temat pracy na obozie, wysnutych z doświadczeń i obserwacji przedstawiła ob. Dubalakówna. Uczestniczka zespołu chojnickiego ob. Mundkowska wysunęła szereg punktów do dyskusji na temat prac przygotowawczych dla obozu. Obrady toczyły się w atmosferze zapału i serdecznego oddania się pracy.

Pomieszczenie znalazły obywatelki w schronisku Tow. Kraj., gdzie w przeddzień zjazdu po kolacji odbyła się wieczorna gawęda, po której zaprodukowano próbne ognisko obozowe, na program którego złożyły się śpiewy, inscenizacje i wiersze.

Zjazd niewątpliwie przyczyni się do wzmocnienia więzów organizacji. Czołowym terenem pracy Okręgu jest teren obozów — nadgraniczne wsie powiatu Chojnickiego. Tego lata już po raz trzeci odbędzie się tam obóz żeńskiej Straży Przedniej Okręgu Pomorskiego.

Zarządzenia i przypomnienia.

1. Naczelniczka Organizacji przypomina, że G.W.W. posiada jeszcze na składzie zbiór cytat z Pism Marszałka Józefa Piłsudskiego „Takiej Polski chce Józef Piłsudski". Cena egzemplarza 30 gr. Broszura winna się znaleźć w rękach wszystkich uczestniczek. Zamówienia należy kierować wprost do G.W.W. po przesłaniu należności.

2. Naczelniczka Organizacji przypomina, że pożądanym byłoby jak najwcześniejsze zgłaszanie udziału w obozie na ręce ob. ob. Instruktorek dla umożliwienia ob. Naczelniczkom Okręgowym zorientowania się w ilości zgłoszeń. Oczywiście na razie chodzi o ustalenie liczby uczestniczek w przybliżeniu, bez składania deklaracji.

Ponadto proszę ob. ob. kierowniczki zespołów o zachęcenie koleżanek kandydatek pragnących w przyszłym roku wstąpić do naszej Organizacji, do wzięcia udziału w tegorocznych obozach dla należytego zaznajomienia się i życia z Organizacją.

KRONIKA ORGANIZACYJNA DZIAŁU MĘSKIEGO.

1. Zjazd Naczelników Okręgów i Komendantów obozów.

W miesiącu maju odbędzie się w Warszawie dorocznym zwyczajem zjazd Naczelników Okręgów i Komendantów obozów poświęcony ujednostajnieniu i omówieniu akcji letniej.

2. Mianowania i zwolnienia.

Naczelnik Organizacji zwolnił w związku z przeniesieniem do Lwowa Obywatela Ludwika Bojczuka ze stanowiska Kierownika Obozu Rzeszowskiego, mianując go równocześnie Instruktorem Okręgowym Okręgu Lwowskiego. Prezydium Rady Naczelnej przesłało ob. Ludwikowi Bojczukowi podziękowanie za pracę na stanowisku Kierownika Obwodu.

3. Kadrowy Zespół Akademicki w Poznaniu.

Z początkiem bież. roku szkolnego został zorganizowany w Poznaniu Akademicki Zespół Kadrowy, który liczy w chwili obecnej 30 członkiń i członków. Kierownikiem zespołu został mianowany ob. instr. Fr. Proch. Dotychczas zespół odbył 5 zebrań. Zespół współpracuje na terenie Poznania z Polskim Białym Krzyżem.

4. Zjazdy.

W dniu 6 b. m. odbył się w Poznaniu zjazd instruktorów, poświęcony omówieniu wyników pracy w I półroczu oraz akcji obozowej. W zjeździe udział wzięli: instruktorzy zespołów czynnych na terenie Okręgu, członkowie Okr. Wydz. Wykonawczego, z ramienia Kuratorium p. Wiz. Eustachiewicz; Gł. Wyd. Wykonawczy reprezentowali Naczelnik Organizacji M. Witkowski i ob. W. Glazer. W czasie obrad wygłoszono trzy referaty na temat pracy samokształceniowej, na obozie, pracy realizacyjnej oraz przysposobienia sportowego i strzelectwa.

W godzinach popołudniowych odbyła się odprawa zespołu akademickiego S. P., w której wzięło udział 20 uczestników i uczestniczek, kilku instruktorów w charakterze gości, oraz delegat Polskiego Białego Krzyża, z ramienia Organizacji Naczelnik Organizacji, Naczelnik Okręgu oraz ob. W. Glazer. Odprawa miała na celu omówienie form współpracy zespołu akademickiego z P.B.K. oraz obozu. Zarówno zjazd instruktorów jak i odprawa zespołu akademickiego odbyła się w poważnym nastroju i stwiedziły wysoki poziom pracy w Okręgu Poznańskim.

5. Wizytacja i wyjazdy członków G.W.W.

Naczelnik Organizacji w dniu 26.II. wyjeżdżał do Lwowa celem odbycia konferencji z Naczelnikiem Okręgu oraz przedstawienia p. Kuratorowi Dr. T. Kupczyńskiemu spraw Okręgu i organizacji zjazdu instruktorów.

Odpowiedzi redakcji z powodu braku miejsca odkładamy do następnego numeru.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI
REDAGUJE KOMITET SEKRETARZ REDAKCJI: CZESŁAW DOMARADZKI
Zakł. Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Senatorska 10.

Książki, teatr, plastyka

DR. STANISŁAW ŁEMPICKI. — PIŁSUDSKI JAKO WYCHOWAWCA. Nakł. „Naszej Księgarni". Warszawa, 1936. Odbitka z książki „Polskie tradycje wychowawcze".

Podobnie jak Wieroński, autor konstatuje na wstępie, że zasadnicze wytyczne ideowe działalności Piłsudskiego przed i po wojnie były jednakie i tylko w związku z sytuacją, w jakiej się naród znajdował, ulegały pewnym odchyleniom. Łempicki w swej książce omawia postać Wielkiego Marszałka jako *wychowawcy społeczeństwa* przed rokiem 1918 i *wychowawcy żołnierza* po odzyskaniu niepodległości. Wychodzi z założenia, że Piłsudski przez całe swoje życie pozostał patriotą — niepodległościowcem i czy to w r. 1905, czy jako minister spraw wojskowych w pierwszych latach niepodległości zawsze był reprezentantem czynnego patriotyzmu.

Piłsudski wychował kilka pokoleń. Za czasu swej działalności redaktorskiej w. Robotniku wychowywał masy proletariatu, na każdym kroku akcentując polskość partii, do której należał, t. zn., utożsamiając walkę o poprawę doli robotniczej z ideą walki o niezawisłość polityczną. Jako jeden z twórców Organizacji Bojowej P.P.S. pragnął w niej widzieć kadry przyszłego wojska i przechodząc do drugiego etapu swej działalności wychowawczej, zakładał szkoły bojowe, pierwsze ośrodki kształcenia polskiego wojska i rządu. Związek Walki Czynnej, strzelec i P.O.W. były dalszymi punktami tego etapu.

W drugiej części książki autor słusznie podkreśla tragizm postaci Piłsudskiego jako wychowawczy odrodzonego, wyzwolonego narodu, który postanowił, jak dawniej żołnierzy swych — podciągać naród wzwyż przez stawianie mu nowych, coraz trudniejszych zadań. Niestety, tu spotkało go rozczarowanie — pragnął gwałtownie „stworzyć nad Wisłą cud prawa" (Pisma, V. 267) i — spotkał się z anarchią. On, demokrata najszczerszy zmuszony był kulami uśmierzać bunt narodu, któremu niedawno wolność darował. Temu problemowi, o który oparł się dalszy program pedagogiczny Piłsudskiego, poświęca autor wiele miejsca, niemal naukowo oświetlając zagadnienie zmiany linii wychowawczej Marszałka w kierunku wyzwolenia narodu z pod „kompleksu nakazów". Książka jest nie tylko godna przeczytania, ale winna znaleźć się na warsztacie dyskusyjnym każdego zespołu strażowego.

Cz. D.

PLASTYKA W ZACHĘCIE.

W styczniu 1938 roku oglądaliśmy dwa salony wystawowe: w Zachęcie i pawilonie I. J.P.S.-u.

Obecnie Zachęta daje kolekcję prac Adama Bunscha, Macieja Nehringa, W. Trzebińskiego, Rolińskiego, W. Jasińskiej, B. Kopczyńskiego, Jaroszczyńskiej, W. Jasińskiej i Sołtana.

Adam Bunsch ciekawy i utalentowany artysta, zdobywca złotego medalu w salonie r. 1936/7 (za witraże „Prawy łotr", „Chrystus na krzyżu"). Artysta-mistyk o indywidualnym podejściu do tematu. Wystawa daje duże wrażenie zwiedzającemu. Maciej Nehring jest utalentowanym akwarelistą o wielkiej skali technicznej. W wystawie ub. roku oglądaliśmy ciekawe prace tego artysty, obecna wystawa Nehringa jest nieciekawa, ujęta jednostronnie. Wystawione w jednej sali z M. Nehringiem prace W. Trzebińskiego zwracają na siebie uwagę mocną może reklamową barwą. Akwarele dają nam obraz Bielan warszawskich. Ujęcia mało ciekawe — architektura znika na tle przejaskrawionej zieleni; malowanie jednoplanowe. Zaletą tych prac jest dobry rysunek. Trzecim z kolei akwarelistą jest Roliński. Prace jego żywe w barwie znajdujemy tu wielką swobodę w operowaniu farbą. Śmiałe plamy pejzaży dają duże wrażenie. Artysta o wszechstronnych możliwościach tematu. Dwa nastrojowe oleje tego artysty dopełniają ciekawej wystawy. Kopczyński w swoich akwarelach dał nam obraz skąpanego w słońcu Podola. Wielka skala barw, jakiej używa artysta, działa na widza oszałamiająco. Prace ciekawe w rysunkach i oryginalne w temacie. W tej samej sali wystawia kilka poważnych portretów p. Mikulicz-Jaroszyńska.

W. Jasińska dała kilkanaście studiów martwej natury. Kto lubi świeże ogórki i karpie na surowo, przegryzane kapustą, będzie miał ucztę nieladajaką. Jeden z wybitnych grafików polskich Sołtan wystawia szereg akwafort. Lekkość rysunku, połączona z bezpośredniością wyczucia to wielkie zalety tego artysty.

Reasumując omawiane wystawy trzeba powiedzieć: „Properamus in Artibus" (czytać: idziemy do Zachęty).

Jerzy Karcz.

TEATR POLSKI „MAŁA DORRIT". w/g POWIEŚCI DICKENSA.

Przeróbki powieści na scenę wypadają dwojako: dobrze lub źle. Namnożyły się w ostatnich czasach, powyrastały jak grzyby po deszczu. Do tej grupy utworów należy komedia w trzech aktach, rodzona córka nieboszczyka Dickensa — tylko, że w odmienionej szacie.

Gdy chce się ją postawić w rzędzie przeróbek, to z niezupełnie czystym sumieniem zaliczyć ją trzeba do grupy złych.

Te skrupuły są wynikiem zawsze świeżych, niezatartych wspomnień lektury dickensowskiej powieści. Przeróbka jest zła i różnych panów przerabiaczy należałoby chyba w jakiś sposób odwieść od dokonywania wiwisekcji dzieła, od nicowania literatury dla robienia „kasy".

W przeróbce tej czekałaby jednak Dickensa niewątpliwa „klapa" gdyby nie dbałość techniczna i obsada. Urządzenia techniczne pozwoliły na wspaniałą wystawę sztuki. Gra zespołu postawiła komedię na poziomie prawdziwego artyzmu. Te elementy zapełniły nicość akcji — może to zbyt silne określenie, więc raczej — nikłość. To, co dobre w powieści, w rzadkim wypadku może wyjść dobrze na scenie. Chcemy przecież, by przed oczyma naszymi działo się coś, by ludzie-aktorzy przeżywali swe życie. Puls tego życia musi być szybki, musi tętnić. A tego w przeróbce brak.

Warto przyjrzeć się szczególnie dwom postaciom: ojcu Dorritowi i jego córce Amy. Ojca Dorrita grał Maszyński. Z głębokim zrozumieniem, szczerze oddał trudny charakter „więźnia za długi", człowieka niegdyś bogatego, który pod wpływem atmosfery więziennej, w której przebywa od dwudziestu lat, degeneruje się: człowieka, który niby zachował swą godność, który nie potrafi jednakże wyzbyć się swych nałogów i jest w rzeczy samej żebrakiem, usiłującym pokryć to pozorami. Nawet uczucie, jakim obdarza córkę, zasadza się na pensji Anny, mierzone jej wysokością.

Maszyński wlał w tę postać tyle życia, że nie czujemy jej „historyczności" i „obcości", jesteśmy raczej skłonni wierzyć, że taki człowiek mógłby zdarzyć się i istnieć i wśród nas.

Ale na tym kończy się wszystko. W ostatnim akcie Maszyński słabiej oddaje postać ojca Dorrita. Prawda, że trudno jest przerzucić się z jednego nastroju w drugi z zachowaniem urazu więzienności i śladów przebywania przez dwadzieścia lat wśród ludzi z środowisk przestępczych. Za dużo było tej więzienności, zbyt silnie podkreślono nieobycie towarzyskie ojca Dorrita. Trudno dociec, czyja w tym wina. „Przerabiacza", reżysera, czy artysty?

Amy — małą Dorrit bez zarzutu, wprost doskonale oddała Barszczewska. Gdyby nie było człowiekowi wstyd, to rozczuliłby się jak za szczenięcych lat, śledząc jej naiwność w rozmowie z zakochanym mężczyzną.

Jedno tylko: mała Dorrit trzy razy jednakowo wyciąga ręce, chcąc wyrazić inne uczucie. Myślę, że chyba tak nie można. Bezradność, lęk i zachwyt różnią się mimo wszystko. Ale wrażenie to zacierają najzupełniej takie sceny, jak np. rozmowa z ukochanym w trzecim akcie itp.

O reżyserii nie da się wiele powiedzieć, jak zawsze wtedy, gdy reżyser zdobywa się na rzeczy poprawne (w skali swego talentu), nie wychodzi poza ramy przeciętności, nie stwarza własnej, reżyserskiej „kreacji".

T. K.

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 3.00

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ 1.50

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8